

CZERWONY KAPTUREK



BAŚNIE Z PEKNIĘTEGO LUSTRA



■ TEKST, REDAKCJA I KOREKTA

✱ Claude  NEMOTRON 3

■ OKŁADKA I ILUSTRACJE:



■ SKŁAD

Mateusz Cholewiński - człowiek

Świdnik 2026

CZERWONY KAPTUREK

„Czerwony Kapturek nie zgubił się w le-
sie — on tylko odkrył, że najciemniejsze
ścieżki zaczynają się tam, gdzie kończy
się posłuszeństwo.”

MS Copilot

CZERWONY KAPTUREK

BAŚNIE Z PEKNIITEGO LUSTRA



CZERWONY KAPTUREK I CENA KRWI

ROZDZIAŁ I

DZIEWCZYNA Z LASU

Była kiedyś dziewczyna, którą wszyscy nazywali Czerwonym Kapturkiem, choć miała na imię Marta. Nosila swój szkarłatny płaszcz nie z powodu kaprysu ani modynosiła go od dnia, gdy znalazła go złożony starannie na progu babcinego domu, obok rozrzuconych kości i kałuży krwi, która zdążyła już wsiąknąć w ziemię i stwardnieć jak smoła.

Miała wtedy czternaście lat. Teraz miała dwadzieścia trzy i przez minione dziewięć lat nie robiła nic innego, jak tylko czekała. Ostrzyła noże. Uczyla się od myśliwych, jak tropić zwierzynę po śladach łap odcisniętych w błocie. Uczyla się od zielarek, jak parzyć wywary, które usypiają na długo i budzą bólem głowy tak potężnym, że człowiek woli nie wstawać z łóżka przez dwa dni. Uczyla się od kowala, jak hartować stal tak, żeby nóż nie złamał się nawet wtedy, gdy uderzy w kość.

Wioska leżała na skraju Czarnego Lasu — miejsca, o którym starcy mówili szeptem, a dzieci słyszały tylko tyle, ile rodzice uznali za stosowne. Las miał swoje prawa, swoje ścieżki i swoje sekrety. Miał też swojego wilka.

Nie był to zwykły wilk. Nie był też — jak chciałyby stare babcie opowiadane przy kominku — zwierzęciem. Był człowiekiem. Mężczyzną, który od lat żył na granicy lasu i wioski, zbyt dzikim, żeby mieszkać wśród ludzi, zbyt przebiegłym, żeby bać się prawa. Wszyscy wiedzieli, że to on. Wszyscy milczeli, bo był wielki, bo miał długie ręce i dłuższe zęby, i bo pewnej mroźnej zimy pomógł wiosce przepędzić bandytów, co sprawiło, że starszyzna

patrzyła w inną stronę, kiedy padały pytania o stare kobiety znikające z leśnych chat.

Marta przestała pytać. Zaczęła planować.

ROZDZIAŁ II

KOSZYK I TRUCIZNA

Poranek był szary jak popioły w palenisku, kiedy Marta wyszła z domu z wiklinowym koszem przewieszonym przez ramię. W środku leżały: bochenek chleba z rozmarynem, słoik miodu, buteleczka nalewki z dzikich śliwek i mała fiolka z bezbarwnym płynem, którą zielarka Hanna wcisnęła jej w dłoń tygodień wcześniej ze słowami: „Nie pytaj, skąd wiem, po co ci to. Pamiętaj tylko — trzy krople do napoju, nie więcej. Pięć i człowiek już nie wstaje.”

Marta wsypała siedem.

Las przyjął ją jak stary znajomy. Znała każde korzenie wystające ponad ścieżkę, każdy głąz obrosły mchem, każde rozwidlenie dróg, gdzie ścieżka myśliwych krzyżowała się ze ścieżką węglarzy. Szła środkiem, bo wiedziała, że wilk obserwuje boczne drogi. Chciała, żeby ją widział. Chciała, żeby podszedł.

Usłyszała go, zanim go zobaczyła — ciężkie kroki na suchych liściach, zbyt głośne, żeby były przypadkowe. On nie starał się być cichy. Po co miałby się starać, skoro przez lata nikt nie stawiał mu oporu?

— Dokąd idziesz, dziewczyno? — odezwał się zza drzew głosem, który przez lata słyszała tylko w koszmarach.

Była wyższa, niż pamiętał. Stała prosto.

— Do lasu — odpowiedziała spokojnie. — Zbierać grzyby.

— Sama? — W jego głosie była kpina. Wyszedł na ścieżkę. Był duży, barczysty, z siwiejącą brodą i oczami koloru brudnej wody. — Niebezpiecznie tu dla samotnej kobiety.

— Wiem. — Marta uniosła kosz. — Może się pan napije? Mam śliwkową nalewkę. Własnej roboty.

Wilk patrzył na nią długo. Może coś poczuł — jakieś przeczucie, które u mądrzejszego człowieka zamieniłoby się w ostrożność. Ale wilk był pewny siebie przez zbyt wiele lat, żeby zacząć się bać teraz. Wyciągnął rękę po butelkę.

ROZDZIAŁ III

CHATKA NA POLANIE

Kiedy wilk zasnął — powoli, z twarzą wykrzywioną bólem, który myślał, że to tylko zawroty głowy — Marta przeszukała jego kieszenie.

Znalazła klucz. Wiedziała, do czego pasuje, bo przez lata obserwowała chatkę na skraju polany, tę, której wszyscy unikali. Tę, z której czasem dochodził zapach, o którym myśliwi mówili, że to zwierzyna. Wszyscy wiedzieli, że to nie zwierzyna.

Chatka była niska i ciemna. Pachniała wilgocią, dymem i czymś słodkim, ostrym — czymś, czego Marta nie chciała nazywać. Przeszła przez sień, minęła izbę z popękany piecem i weszła do tylnego pomieszczenia.

Na ścianie wisiały rzeczy, które zbierał przez lata. Pamiątki, jak powiedziała by ktoś, kto chciał użyć łagodnego słowa. Marta widziała wstążki, spinki do włosów, wyblakłe chusty. Jeden szkarłatny kapturek, mniejszy niż jej własny — babcin. Poznałaby go wszędzie.

Wzięła go ze ściany. Złożyła starannie i schowała za pazuchą. Potem wróciła do wilka.

ROZDZIAŁ IV

ZEMSTA NIE JEST SŁODKA

Późniejsze baśnie — te opowiadane dzieciom przy świetle świec — mówiły, że myśliwy przyszedł w ostatniej chwili i uratował wszystkich. Że wilk dostał nauczkę i już nigdy więcej nie krzywdził niewinnych. Że Czerwony Kapturek wróciła do domu, zjadła obiad i żyła długo i szczęśliwie.

Marta nie żyła długo i szczęśliwie. Żyła dokładnie tyle, ile chciała, i robiła to na własnych warunkach.

Kiedy wróciła do wioski o zmierzchu, bez kosza, bez nalewki i bez wilka, starszyzna zebrała się na placu. Wiedzieli. Albo domyślali się. Stary sołtys podszedł do niej pierwszym krokiem człowieka, który czuje się winny, ale nie zamierza się do tego przyznać.

— Co zrobiłaś? — zapytał cicho.

Marta spojrzała na niego. Na jego ręce, które przez lata podpisywały dokumenty pozwalające wilkowi zostać. Na jego oczy, które patrzyły w bok, kiedy padały pytania o stare kobiety z leśnych chat.

— To, co wy powinniście zrobić dziewięć lat temu — odpowiedziała.

Odwróciła się i poszła do domu. Przy ognisku przez długą chwilę trzymała w dłoniach babciny kapturek. Potem wrzuciła go do ognia i patrzyła, jak płonie — powoli, równo, bez dymu — aż do ostatniego włókna.

Sen tej nocy był pierwszym spokojnym snem od dziewięciu lat.

EPILOG

CO MÓWIĄ BAŚNIE

Baśnie kłamią. Nie z czystej złośliwości — kłamią, bo ludzie wolą wersje, w których sprawiedliwość przychodzi z zewnątrz, w pelerynie i z toporem, i nie zostawia po sobie żadnych pytań. Wersje, w których ofiara jest zawsze czysta, a sprawca zawsze jednoznacznie zły, i w których po wszystkim można wrócić do stołu i zjeść ciepłą kolację.

Prawdziwa historia Marty nie była taka prosta. Przez lata zadawała sobie pytanie, czy jest po tej samej stronie, co wilk — czy różnica między nimi to tylko kierunek, w którym wymierzają sprawiedliwość. Nigdy nie znalazła odpowiedzi, która by ją całkowicie zadowoliła.

Ale wiedziała jedno: las jest cichy. Chatka na polanie spłonęła dwa dni po tej nocy — od iskry z komina, mówili ludzie. Marta nie zaprzeczała.

Na jej ramionach wciąż leżał szkarłatny płaszcz. Nie zdjęła go nigdy. Nie dlatego, że chciała pamiętać — dlatego, że pewne rzeczy nosi się nie dla pamięci, ale po to, żeby następny wilk widział go z daleka i wiedział, że ta droga jest zajęta.



KREW I KORZENIE

ROZDZIAŁ I

WIOSKA NA SKRAJU PUSZCZY

Rok Pański 1347 był rokiem głodu, mrozu i złych snów. Wieś Czarna Wola leżała na wschodnim skraju Puszczy Knyszyńskiej, tam gdzie drzewa rosły tak gęsto, że nawet w środku letniego dnia słońce docierało do ziemi tylko w postrzępionych strzępach — blaskach, które ludzie nazywali palcami umarłych i których się bali, bo mieli rację.

Starosta Dobiesław Krzywda — nazwisko odziedziczył po ojcu, który odziedziczył je po dziadku, co świadczyło albo o rodzinnej tradycji, albo o braku wyobraźni — zarządzał wsią żelazną ręką, co w praktyce oznaczało, że znosił dziesięcinę regularnie, nie pozwalał chłopom tracić czasu na ceremonię i uważał, że strach utrzymuje porządek skuteczniej niż prawo.

Nie wiedział jeszcze, że jest strach i jest strach.

Pierwsza ofiara nazywała się Wojtek. Szesnastolatek, syn kowalski, który poszedł do lasu po drewno i nie wrócił. Takie rzeczy zdarzały się zimą — wilki, zdrażliwy lód na rzece, szczęście, które skończyło się nieoczekiwaniem. Dobiesław kazał wysłać dwóch chłopów na poszukiwania. Wrócili o zmierzchu bez Wojtka, ale z czymś innym — z opowieścią, której nie chcieli mówić głośno i którą szepotali przy ognisku, coraz ciszej, w miarę jak noc gęstniała.

Znaleźli but. Tylko but, prawy, skórzany, z nową podeszwą, którą kowal założył synowi tydzień przed zaginięciem. Wokół buta — w promieniu może pięciu kroków — wszystkie drzewa były obrane z kory. Również, na wysokości oczu dorosłego mężczyzny. I cisza, powiedzieli chłopci.

Nie zwykła leśna cisza — cisza, jakby las wstrzymał oddech. Żadnego ptaka, żadnego wiatru, żadnego trzasku gałęzi.

Jakby las patrzył.

Stara Milka, zielarecka i wróżka w jednej osobie, siedząca przez całą zimę przy piecu i żująca korę wierzbową na bolące zęby, powiedziała tylko jedno słowo, kiedy usłyszała opis.

— Leszy.

ROZDZIAŁ II

STARA MILKA I DAWNE PRAWA

Milka miała tyle lat, że nikt nie pamiętał, jak wiele. Dobiesław twierdził, że pamiętał ją z dzieciństwa jako starą kobietę. Jej matka, wedle podań wiejskich, też była starą kobietą odkąd sięgała pamięć ludzka. Być może Milki nie rodziły się nigdy, tylko pojawiały — jak grzyby po deszczu, bez zapowiedzi, w miejscach, gdzie było wilgotno i ciemno.

Siedzieli przy niej w izbie — Dobiesław, kowal Marek bez syna, i dwóch chłopów, którzy znaleźli but. Plus jeszcze jeden człowiek, przybysz, który zjawił się we wsi dwa tygodnie wcześniej i którego nikt do końca nie potrafił zakwalifikować.

Nazywał się Sędzimir i był niski — niższy niż powinien być dorosły mężczyzna — z szerokimi ramionami, gęstą czupryną i stopami, które wyglądały jakby nigdy nie nosiły butów, bo były twarde i szerokie jak deski. Mówił, że jest wędrownym handlarzem z południa. Milka mówiła na niego półczłowiek i śmiała się, kiedy to robiła, co u niej oznaczało żart, który nie jest śmieszny.

Sędzimir nie protestował. Siedział na ławce, jadł chleb i słuchał z uwagą człowieka, który wie więcej niż mówi.

— Leszy — powtórzyła Milka, patrząc w ogień. — Pan Lasu. Starszy od kościoła, starszy od wsi, starszy od nas wszystkich. — Podniosła wzrok na Dobiesława. — Coś naruszyliście. Coś, co było jego.

— Nic nie naruszyliśmy — powiedział Dobiesław twardo.

— Drwał Henryk ściał dąb przy wschodniej granicy — powiedziała Milka spokojnie. — Ten z martwym konarem. Ten, który stał tam od stu lat.

Dobiesław zmrużył oczy.

— Henryk dostał pozwolenie.

— Nie ode mnie. Nie od Leszego. — Milka wyjęła z zębów korę wierzbową i odłożyła ją na stół z odgłosem, który był zbyt cichy, żeby tak mocno uderzyć w ciszę izby. — Teraz Pan Lasu bierze dług. Jednego za drzewo to jeszcze mało. Będzie brał dalej.

Kowal Marek wydał z siebie dźwięk, który nie był słowem.

Sędzimir jadł chleb i patrzył w ogień z wyrazem twarzy człowieka, który słyszał już wcześniej podobne opowieści i wie, że zwykle kończą się gorzej niż myśli słuchacz.

ROZDZIAŁ III

CO WIDZI LESZY

Leszy miał oczy jak kora dębu — brązowe, popękane, pełne małych szczelin, w których kryło się wszystko, co las widział przez stulecia. Był wysoki, kiedy chciał być wysoki — wyższy od świerków, wyższy od kościelnej wieży — i mały, kiedy mu było wygodniej: wielkości lisa, wielkości kamienia przy drodze. Zmieniał kształt jak zmienia się cień przy zachodzącym słońcu, płynnie i bez wysiłku.

Chodził po puszczy tą nocą i liczył. Stare drzewo warte było więcej niż jedno życie — to wiedział. Dąb z martwym konarem miał sto siedemdziesiąt siedem lat i przez te sto siedemdziesiąt siedem lat zbierał wiedzę lasu w swoich słojach jak człowiek zbiera lata w zmarszczkach. Drwał nie wiedział tego. Drwał widział drewno. Leszy widział pamięć.

Musiał zabrać pamięć z powrotem w innej formie.

Chodził między drzewami i zostawiał ślady, które myśliwi znajdowali rano i które nie pasowały do żadnego zwierzęcia, bo Leszy nie był żadnym zwierzęciem. Był czymś starszym i bardziej cierpliwym. Mógł czekać — czekał przez zimy i lata, przez głody i zarazy, przez wszystkie ludzkie tragedie, które przemijały jak mgła nad bagnem — i nigdy mu się nie spieszyło.

Ale dług był długiem. I dług trzeba spłacić.

Tej nocy wybrał drugą ofiarę. Zobaczył ją przez szpary między drzewami — światło w oknie jednej z chałup, ruch za szybą z łoju. Liczył. Obliczał. Prawo Lasu jest matematyką starszą niż litery.

Wiatr poruszył gałęziami, jakby las westchnął.

ROZDZIAŁ IV

BAZYLISZEK POD ZAMKIEM

Trzydzieści kilometrów na południe, w ruinach starego zamku, który stał jeszcze za czasów Piastów i od lat służył jako schronienie dla myśliwych, watażków i tych, którzy woleli nie być pytani o imię i skąd przyszli — tam mieszkał Bazyliszek.

Nie wyglądał jak potwór. To był jego najgroźniejszy atrybut.

Wyglądał jak ptak. Czarny kogut z koroną z czerwonych piór, wielkości kury, z oczami, które — jeśli patrzeć ostrożnie, kątem widzenia — miały w sobie coś, co nie należało do żadnego ptaka. Siedział na kamieniu przy bramie od tygodni, i kupcy, którzy przejeżdżali tą drogą do Krakowa, mówili, że to tylko dziki kogut, i omijali go szerokim łukiem, bo coś w nich — coś pierwotnego i mądrzejszego niż rozum — kazało trzymać wzrok na ziemi.

Jeden kupiec nie usłuchał tego czegoś.

Znaleźli go rano, na gościńcu, siedzącego przy wozie w pozycji człowieka, który zasnął, z głową opadłą na pierś. Twarz miał spokojną. Oczy otwarte. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że jego oczy — brązowe, zwykłe, handlarzowskie oczy — zmieniły kolor. Były teraz szare i zimne jak kamień.

I były kamieniem. Dosłownie. Twardym, zimnym kamieniem w kształcie oka.

Wóz stał przez tydzień, zanim ktoś odważył się do niego podejść. Kogut zniknął.

ROZDZIAŁ V

SĘDZIMIR I COŚ, CZEGO NIE MÓWIŁ

Kiedy Dobiesław powiedział Sędzimirowi o Bazyliszku pod zamkiem — bo wieści chodziły szybko między wsiami, szybciej niż konie, szybciej niż błoto zimą — handlarz z południa siedział przez długą chwilę bez ruchu.

Potem sięgnął do torby i wyjął mały przedmiot. Łańcuszek z kawałkiem szkła, owalnym, szlifowanym — zwierciadełko, nie większe niż dłoń dziecka. Stare. Bardzo stare, z obramowaniem w kształcie liści, które Dobiesław nie potrafił zidentyfikować — nie polskie liście, nie liście, które widział w kościelnych iluminacjach.

— Skąd to masz? — zapytał Dobiesław.

— Znalazłem — odpowiedział Sędzimir, co było kłamstwem tak oczywistym, że obaj to wiedzieli, i obaj udali, że nie.

— Do czego to?

Sędzimir wziął zwierciadełko i obrócił je w palcach. Miał dziwnie długie palce jak na tak niskiego człowieka — długie i pewne, jak u kogoś, kto przez lata robił nimi rzeczy wymagające precyzji.

— Bazyliszek zabija wzrokiem — powiedział. — Ale tylko bezpośrednim. Przez lustro — widzi swój własny wzrok i umiera od niego. Stara zasada. Starsza niż Polska.

— Starsza niż Polska to dużo — mruknął Dobiesław.

— Tak — zgodził się Sędzimir i nic więcej nie dodał.

Milka, siedząca przy piecu, patrzyła na Sędzimira z wyrazem twarzy, który Dobiesław widział u niej rzadko — wyrazem czegoś pomiędzy rozpoznaniem a szacunkiem.

— Daleko stąd twoja Norka, Stopasteniu? — zapytała po cichu, po staropolsku, dialektem, którego Dobiesław nie w pełni rozumiał.

Sędzimir spojrzał na nią. Przez chwilę coś przemknęło przez jego twarz — coś, co wyglądało na tęsknotę.

— Daleko — odpowiedział równie cicho. — I dawno.

ROZDZIAŁ VI NOC DIABŁA

Diabeł przyszedł w środę, bo Diabeł miał poczucie humoru i wiedział, że środa jest dniem tygodnia, kiedy ludzie są zbyt zmęczeni pierwszą połową i zbyt daleko od końca, żeby mieć rezerwy na cokolwiek.

Nie był to diabeł z kościelnych malowideł — rogatek, kopytowy, z widłami jak u każdego szanującego się kmiecia. Był to Diabeł polski, staropolski, sprzed kościoła i sprzed liter — Rogatiec, Czarny Pan, Ten-Co-Chodzi-Na-Rozstajach. Wyglądał jak stary szlachcic: ciemny kontusz, buty z cholew, twarz gładka i miła, z uśmiechem, który był o jeden milimetr za szeroki, żeby być normalny.

Przyszedł do Dobiesława o zmierzchu i zapukał do drzwi jak gość.

— Dobry wieczór — powiedział Diabeł, wchodząc bez zaproszenia. — Słyszałem, że macie problem.

Dobiesław chwycił za krzyż na szyi. Diabeł spojrzał na krzyż z wyrazem łagodnej irytacji.

— To naprawdę niepotrzebne — powiedział. — Jestem tu jako mediator.

— Mediator — powtórzył Dobiesław.

— Między wami a Leszym. — Diabeł usiadł przy stole bez zaproszenia i zaczął przeglądać dokumenty leżące na blacie, jakby był u siebie. — Leszy chce długu. Wy nie chcecie oddawać ludzi. Ja mogę — za odpowiednią opłatą — wynegocjować zamianę. Zamiast ludzi — inne aktywa.

— Jakie aktywa?

Diabeł uśmiechnął się. Ten uśmiech o milimetr za szeroki.

— To zależy, co macie.

Rozmowa trwała długo. Dobiesław nie był głupi — głupi starosta nie przeżył w tych czasach wystarczająco długo, żeby być

starosta — i słuchał uważnie każdego słowa, szukając haczyka, bo z Diabłem haczyk zawsze był, pytanie tylko gdzie.

Sędzimir wszedł w połowie rozmowy. Staął w drzwiach i patrzył na Diabła przez chwilę.

Diabeł patrzył na Sędzimira.

— O — powiedział Diabeł. — Tego się nie spodziewałem.

— Czego? — zapytał Dobiesław.

— Takiego gościa. — Diabeł wstał. Nagle był o kilka centymetrów wyższy niż wchodząc, co nie było możliwe, ale jednak. — Kim jesteś, Stopasteniu?

— Nikim ważnym — odpowiedział Sędzimir.

— Skłamałeś — stwierdził Diabeł, ale bez złości — z profesjonalnym uznaniem. — Rzadko mi to robią.

ROZDZIAŁ VII

ZWIERCIADŁO I KORONA

Plan był prosty, jak wszystkie plany, które działają — i skomplikowany, jak wszystkie plany, w których mogło pójść wszystko nie tak.

Sędzimir miał zwierciadło. Milka miała zaklęcia stare jak las — zaklęcia, których nie uczyło się w kościołach, bo kościoły były za młode na taką wiedzę. Dobiesław miał ludzi i konie. Diabeł, ku zaskoczeniu wszystkich, postanowił pomóc — nie z dobroci serca, bo Diabeł nie miał serca, ale dlatego, że Bazyliszek działał bez żadnej umowy i bez żadnej zasady, a to Diabła irytowało, bo zasady — nawet złe zasady — były fundamentem jego egzystencji.

— Bazyliszek nie jest z tej puszczy — powiedziała Milka, kiedy siedzieli wszyscy razem, co było sceną, która nie miała nazwy w żadnym języku. — Przywłół go ktoś z południa. Ktoś, kto chciał opróżnić gościniec przed Krakowem.

— Kupiecka konkurencja? — zapytał Sędzimir.

— Polityka — powiedział Diabeł z tonem człowieka, który słyszał już ten argument zbyt wiele razy.

Wyruszyli przed świtem. Dobiesław, Sędzimir, dwóch chłopów z siekierami i Milka na wozie, bo Milka twierdziła, że za stara, żeby chodzić pieszo, ale za ważna, żeby zostać.

Diabeł szedł obok, z rękami złożonymi za plecami, rozglądając się po lesie z wyrazem turysty, który przyszedł w nieodpowiednie miejsce i teraz próbuje znaleźć w tym coś interesującego.

Zamek wyglądał gorzej za dnia niż w nocy. Ruiny były stare — naprawdę stare, mury z kamienia, który pamiętał innych budowniczych, inne imiona, inny język. Brama stała otworem, z kamieniami wypadłymi z łuku, z chwastami rosnącymi w szczelinach między płytami podwórca.

Kogut siedział na kamieniu przy studni.

Patrzył na nich przybocznym wzrokiem, jak ptaki — bo ptaki nie patrzą prosto, patrzą skośnie, jednym okiem — i był to najpiękniejszy i najstraszniejszy ptak, jaki Dobiesław widział w życiu, co biorąc pod uwagę, że Dobiesław widział wiele, mówiło dużo.

— Teraz — szepnął Sędzimir.

I odwrócił zwierciadło.

ROZDZIAŁ VIII KONIEC DŁUGU

Leszy stanął na skraju lasu tydzień po śmierci Bazyliuszka, kiedy zima była jeszcze twarda od mrozu i słońce wchodziło nisko, czerwone, bez ciepła.

Dobiesław stanął naprzeciwko niego sam, bo Milka powiedziała, że tak trzeba, i że trzeba bez krzyża i bez noża, i bez żadnej broni, bo z Leszym można rozmawiać tylko jako człowiek, bez ochrony, bo Pan Lasu nie znosi udawania.

Leszy był teraz wielkości człowieka. Stał w kształcie starego myśliwego — skóra jak kora, oczy jak kora, dłonie jak korzenie — i patrzył na Dobiesława bez złości, bez łaskawości, z czymś, co było po prostu czekaniem.

— Wiemy o dębie — powiedział Dobiesław. — Drwał działał bez wiedzy. Kara powinny spaść na niego, nie na innych.

Leszy milczał.

— Możemy posadzić trzy drzewa za każde ścięte. Możemy wyznaczyć granicę, której nie będziemy przekraczać. Możemy respektować dawne prawa.

Leszy patrzył.

— Chcemy żyć obok was, nie przeciwko wam — powiedział Dobiesław i sam był zaskoczony tym, że mówi wam, bo Las był dawniej nim, a teraz był czymś innym — czymś na tyle realnym, że należało mu się to zaimkowanie.

Leszy odwrócił się i wszedł między drzewa.

To był koniec rozmowy. Czy była to zgoda — Dobiesław nie wiedział. Milka powiedziała, że tak, bo gdyby nie, Dobiesław nie wróciłby do wsi. Dobiesław uznał, że to wystarczająco dobra miara sukcesu.

ROZDZIAŁ IX

SĘDZIMIR ODCHODZI

Sędzimir spakował torbę ósmego dnia, kiedy śnieg zaczął topnieć przy krawędziach drogi — pierwszy znak, że zima ustępuje, choć w Czarnej Woli nikt jeszcze temu nie ufał, bo zima miała zwyczaj wracać.

— Dokąd? — zapytał Dobiesław.

— Na południe — odpowiedział Sędzimir. — Mam sprawę w Krakowie. Potem może dalej.

— Wróciłbyś kiedyś?

Sędzimir zapiął torbę i zarzucił ją na szerokie ramię. Miał minę człowieka, który zna odpowiedź i nie wie, czy jest to dobra odpowiedź.

— Może kiedyś — powiedział. — Świat jest okrągły, mówią.

— Mówią — potwierdził Dobiesław.

Sędzimir kiwnął głową i ruszył drogą na południe. Dobiesław patrzył za nim, aż zniknął za zakrętem, i myślał o tym, że nie zapytał nigdy, skąd naprawdę pochodzi ten człowiek, i o tym, że Milka nazywała go Stopastenią, i o tym, że stopy Sędzimira na śniegu robiły ślady nieco za szerokie i nieco za mocne jak na jego wzrost.

Potem odwrócił się i poszedł do domu, bo wioska miała wiosenną robotę, a świat nie czekał na filozofię.

Milka patrzyła przez okno za odchodzącym i uśmiechała się w sposób, który nie wymagał wyjaśnienia.

— Daleko do Norki — mruknęła do siebie. — Bardzo daleko.

EPILOG

CZARNA WOLA, WIOSNA

Wiosna przyszła niespodziewanie prędko i niespodziewanie łagodnie, co wszyscy uznali za dobry znak, a co Milka komentowała wzruszeniem ramion, bo dobry znak w Czarnej Woli rzadko oznaczał koniec problemów — oznaczał przerwę między problemami.

Przy wschodniej granicy lasu posadzono trzy dęby. Granicę wytyczono białymi kamieniami, które Milka osobiście oznaczyła znakami, których Dobiesław nie pytał o znaczenie. Drwał Henryk, sprawca wyjściowy całej historii, dostał karę publiczną i przez rok miał obowiązek sadzenia drzew wzdłuż leśnych ścieżek, co uznał za krzywdę, ale wykonywał.

Gościniec pod zamkiem był znów przejezdny. Kupcy wracali, choć omijali ruiny szerokim łukiem i nie nocowali w nich, co było rozsądne nawet bez powodów nadprzyrodzonych.

Diabeł otrzymał swoją opłatę — Dobiesław do końca życia nie mówił, co to było, i nikt nie pytał głośno, bo w tamtych czasach były rzeczy, które się wiedziało, i rzeczy, które wiedziało się, że się wie, ale o których się nie rozmawiało przy świetle.

Pewnej majowej nocy Dobiesław siedział przy oknie i słyszał z lasu coś, co mogło być wiatrem, ale miało za dużo rytmu na wiatr — jakiś dźwięk, głęboki i stary, jak pieśń, która istniała zanim wymyślono słowa.

Stara Milka powiedziała mu następnego ranka, że to Leszy śpiewa. Że śpiewa rzadko. Że to coś w rodzaju pokoju.

Dobiesław Krzywda, starosta wsi Czarna Wola, człowiek twardy i praktyczny, któremu zima zabrała dwóch ludzi i kosztowała go jeden wstydlawy układ z Diabłem — Dobiesław Krzywda usiadł przy ognisku i pierwszy raz od lat nie liczył zapasów, nie planował, nie zarządzał. Tylko słuchał.

Las śpiewał.



WIEŻA. AKT OSKARŻENIA

ROZDZIAŁ I

ŚLED CZY ERIKSSON I SPRAWA BEZ CIAŁA

Deszcz padał od trzech dni bez przerwy, co w Ystad było normą, ale detektyw Lars Eriksson i tak za każdym razem miał wrażenie, że niebo robi to osobiście przeciwko niemu. Siedział przy biurku z kubkiem zimnej kawy i plikiem fotografii, które miejscowa straż leśna przysłała rano — standardowe zgłoszenie, anonimowe, odręcznie napisane na kartce wyrwanej z zeszytu szkolnego.

„W wieży przy Czarnym Jeziorze od lat przetrzymywana jest kobieta. Nikt jej nie widział. Nikt nie pyta. Wy też nie zapytacie.”

To ostatnie zdanie zirytowało Erikssona bardziej niż powinno. Wziął płaszcz i wyszedł.

Wieża stała na skraju lasu sosnowego czternaście kilometrów od miasta, przy jeziorze, które lokalni nazywali Czarnym nie ze względu na poetycką metaforę, ale dlatego, że woda była tam brązowo-czarna od torfu i wyglądała jak zimna herbata zapomniana na parapecie. Dojazd prowadził przez drogę szutrową, która była szutrową tylko umownie — Eriksson dwa razy utknął w błocie i dwa razy musiał pchać samochód, przeklinając ciszej niż chciał, bo jego partner, młoda konstablina Maja Lindgren, siedziała obok i nie znosiła wulgaryzmów.

— Ktoś konserwuje ten budynek — powiedziała Maja, kiedy wysiedli i stanęli w deszczu przed wieżą. Mówiła spokojnie, jak zawsze, patrząc na mury z wyrazem twarzy, który Eriksson opisałby jako zawodowe skupienie z nutą niepokoju. — Tynk jest świeży. Okiennica wymieniona. Ktoś tu regularnie przyjeżdża.

— Albo ktoś tu mieszka — odpowiedział Eriksson.

Nie było drzwi wejściowych. To znaczy — były ślady po drzwiach, stara futryna, ale otwór był zamurowany ceglami, które wyglądały na stare, choć Maja zaraz przykucnęła i powiedziała, że zaprawa jest stosunkowo świeża, może pięć lat, może siedem.

— Jak się wchodzi? — zapytał Eriksson, obchodząc wieżę dookoła.

— Nie wchodzi się — powiedziała Maja cicho. — Albo nie wychodzi.

ROZDZIAŁ II GOTHEL

Kobieta nazywała się Agnieszka Gothel i mieszkała w farmerskim domu trzy kilometry od wieży. Eriksson znalazł ją po tym, jak sprawdził rejestry nieruchomości — wieża była wpisana jako jej własność od dwudziestu dwóch lat, nabycie w drodze zakupu, cena rażąco niska, sprzedający nieżyjący od dwudziestu lat. Wszystko formalne. Wszystko w porządku na papierze.

Gothel miała sześćdziesiąt parę lat, siwe włosy zaczesane ciasno do tyłu, twarz, która kiedyś była piękna i teraz była po prostu surowa. Wpuściła ich bez oporu, co Erikssona zawsze niepokoiło bardziej niż opór — ludzie, którzy wpuszczają policję bez słowa, albo nie mają nic do ukrycia, albo mają wszystko doskonale schowane.

— Wieża jest zamknięta od lat — powiedziała, nalewając herbatę bez pytania, czy chcą. — Zniszczona. Nie nadaje się do użytku.

— Ktoś ją remontuje — powiedział Eriksson.

— Ja. Mam pozwolenie. Mogę pokazać dokumenty.

Dokumenty były w porządku. Maja przeglądała je przy stole i Eriksson widział po jej twarzy, że są w porządku, i że to ją niepokoi tak samo jak jego.

— Jest pani właścicielką od dwudziestu dwóch lat — powiedział. — Nigdy w niej pani nie mieszkała?

— Nie.

— Nikogo tam nie przyjmowała pani?

Gothel podniosła wzrok. Była bardzo spokojna.

— Nie.

Eriksson wypił herbatę. Była za słaba, jak wszystkie herbaty, które robili mu obcy ludzie — jakby żalowali liści.

— Wróćmy — powiedział przy wyjściu.

Gothel kiwnęła głową, jakby wiedziała o tym od początku.

ROZDZIAŁ III

WŁOSY

Raport kryminalistyczny przyszedł cztery dni później. Maja położyła go na biurku Erikssona bez słowa — co oznaczało, że jest w nim coś, co ją zaskoczyło, a Maję zaskoczyć było trudno.

W szczelinach między cegłami w zamurowanym otworze drzwiowym znaleziono fragmenty biologiczne — naskórek, trzy włosy. Analizy DNA trwały, ale już wstępne badania mikroskopowe powiedziały tyle, że włosy są jasne, bardzo długie, i że z budowy trzony wynika, iż należą do kobiety w wieku między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia.

— W bazie danych zidentyfikowaliśmy coś? — zapytał Eriksson.

— Nie ma jej w bazie — powiedziała Maja. — Nigdzie jej nie ma. Żadnych dokumentów, żadnego numeru identyfikacyjnego, żadnych śladów w systemie. Jakby nigdy nie istniała.

— Albo jakby ktoś zadbał, żeby tak wyglądało.

Maja usiadła. Przez chwilę milczała, co u niej oznaczało poważne myślenie, nie brak zdania.

— Lars — powiedziała — sprawdziłam rejestry urodzin z okolic. Dwadzieścia dwa lata temu, w tym samym roku, w którym Gothel kupiła wieżę, zniknęło ze szpitala w Malmö niemowlę. Dziewczynka. Matka umarła przy porodzie. Ojciec nieznany. Dziecko miało trafić do opieki społecznej.

— Nie trafiło.

— Sprawa została zamknięta jako błąd administracyjny.

Eriksson patrzył przez okno na deszcz. W tym mieście deszcz był tłem dla wszystkiego — narodzin, śmierci, spraw, które zamykano jako błędy administracyjne.

— Potrzebujemy nakazu przeszukania — powiedział.

ROZDZIAŁ IV

WNĘTRZE WIEŻY

Nakaz przyszedł po tygodniu, bo sędzia był ostrożny i chciał solidnych podstaw, i Eriksson rozumiał to, choć siedząc przy zimnej kawie o jedenastej wieczorem rozumiał to z trudem.

Weszli do wieży przez okno drugiego piętra — jedyne, które można było otworzyć. Eriksson wszedł pierwszy, na drabinie, w deszczu, z latarką w zębach, co Maja komentowała wzrokiem mówiącym mamy procedury od tego.

Wnętrze było czyste. To było pierwsze, co Eriksson poczuł — nie widok, ale zapach. Mydło, воск do podłóg, suche drewno. Ktoś

mieszkał tu przez lata i dbał o porządek z precyzją człowieka, który nie ma nic innego do roboty.

Jedna izba. Łóżko, stół, krzesło, regał z książkami. Eriksson policzył książki — sto czternaście, sprawdził potem w notatniku. Były czytane wielokrotnie, grzbiety popękane, strony pożółkłe od palców. Na stole leżał notes — zapisany gęsto, małym, równym piśmem — dziennik prowadzony od lat, daty na każdej stronie, codzienne wpisy.

Maja wzięła notes i czytała przez długą chwilę, stojąc nieruchomo przy oknie.

— Zaczyna się, kiedy miała siedem lat — powiedziała cicho. — Uczyła się pisać. Pierwsze strony to ćwiczenia liter. — Przewróciła kilka stron. — Tutaj — miała może dwanaście — pisze, że zapytała Gothel, kiedy wyjdzie. Gothel odpowiedziała, że nigdy, bo świat zewnętrzny jest niebezpieczny i ona jest jedyną osobą, która może ją chronić.

Eriksson patrzył na łóżko. Na wyświechtaną kołdrę złożoną starannie w kwadrat.

— Gdzie ona jest teraz? — zapytał, choć pytał bardziej siebie niż Maję.

— Ostatni wpis w notesie — powiedziała Maja — jest sprzed ośmiu miesięcy.

ROZDZIAŁ V

CHŁOPAK Z LASU

Znaleźli go przez przypadek, jak się często w tej pracy znajdowało rzeczy ważne — przez karteczkę z informacją od kogoś, kto wolał być anonimowy. Tym razem była to starsza kobieta z wioski za lasem, która zadzwoniła na numer ogólny i powiedziała, że jej wnuk jeździ czasem rowerem przy Czarnym Jeziorze i że rok temu powiedział, że widział przy wieży dziewczynę z bardzo długimi włosami.

Wnuk miał na imię Mikael, miał dwadzieścia lat, studiował w Göteborgu i wrócił na weekend. Siedział przy kuchennym stole u babci z kubkiem kakao z wyrazem twarzy człowieka, który się boi, że zrobił coś złego.

— Widziałem ją dwa razy — powiedział. — Raz latem, rok temu. Stała w oknie. Miałem wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale się boi. — Przerwał. — Drugi raz było w październiku. Przyszła do mnie sama, w lesie. Była boso. Miała na sobie tylko sukienkę i było zimno.

— Co powiedziała? — zapytał Eriksson.

Mikael owinał dłonie wokół kubka.

— Że musi wyjść. Że kobieta, która ją tam trzyma, powiedziała jej, że jest chora i że umrze, jeśli zetknie się ze światem zewnętrznym, ale ona wie już, że to nieprawda, bo przeczytała sto czternaście ksiąg i w żadnej nie było choroby, która działa w ten sposób. — Pokręcił głową. — Mówiła szybko. Jakby ćwiczyła tę mowę długo.

— Co zrobiłeś?

— Chciałem zabrać ją ze sobą. Odmówiła. Powiedziała, że nie może tak po prostu wyjść, bo Gothel wróci i zacznie szukać, i że musi to zrobić inaczej. Że potrzebuje czasu. Że ona sama to zorganizuje.

— I co?

— I wróciła do wieży. Sam ją widziałem, jak weszła przez okno. — Mikael milczał przez chwilę. — A potem już jej nie widziałem. Bałem się pojechać sprawdzić. Nie wiedziałem, do kogo zadzwonić. Czy zrobiłem źle?

Eriksson nie odpowiedział na to pytanie, bo odpowiedź była skomplikowana i teraz nie było na nią czasu.

ROZDZIAŁ VI

INNA WIEŻA. INNE MIASTO

Znaleźli ją w Malmö.

Nie w wieży — w małym mieszkaniu na trzecim piętrze przy bocznej ulicy, które wynajmowała od czterech miesięcy pod nazwiskiem, które sama wymyśliła, bo żadnego innego nie miała. Nazywała się Rapunzel — Gothel dała jej to imię, jedno imię, bez nazwiska, co już samo w sobie było wystarczającym dowodem do aktu oskarżenia, jak stwierdził potem prokurator.

Eriksson i Maja pojechali sami, bez wzmocnienia, bo Maja powiedziała, że nie ma powodu, żeby przyjeżdżać z radiowozami do kobiety, która przez dwadzieścia dwa lata była przetrzymywana wbrew swojej woli.

Otworzyła drzwi po pierwszym pukaniu. Była wysoka, jasnowłosa, miała oczy koloru zimowego jeziora i wyraz twarzy człowieka, który spodziewa się ciosu i jest przygotowany, żeby go wytrzymać.

— Policja — powiedział Eriksson, pokazując legitymację.

Patrzyła na nią długo.

— Wiem — powiedziała w końcu. — Wiedziałam, że przyjdziecie. Proszę wejść.

Mieszkanie było małe i czyste. Na stole leżały książki — nowe, kupione, z zakładkami w środku. Na oknie stały trzy doniczki z ziołami. Na ścianie wisiała mapa Szwecji, a kilka miast było zakreślonych

czerwonym długopisem — jakby planowała trasy, jakby uczyła się geografii kraju, który znała tylko z książek.

— Chcę złożyć zawiadomienie — powiedziała Rapunzel, siadając przy stole. Mówiła spokojnie, z namysłem, dobierając słowa jak ktoś, kto przez lata miał tylko słowa i nauczył się szanować ich wagę. — Mam wszystko zapisane. Daty, zdarzenia, dokumentację. Przez ostatnie osiem miesięcy spisałam wszystko, co pamiętam, z datami dziennymi, bo prowadziłam dziennik od siódmego roku życia.

— Wiemy — powiedziała Maja.

— Gothel mówiła mi, że jestem chora. Że świat zewnętrzny mnie zabije. Przez lata wierzyłam. Potem przestałam wierzyć, ale nie wiedziałam, jak wyjść, bo nie wiedziałam, jak funkcjonuje świat, który widziałam tylko z okna i czytałam tylko w książkach. — Złożyła ręce na stole. — Uczyłam się. To zajęło czas. Ale wyszłam sama. Chcę, żebyście o tym wiedzieli — wyszłam sama.

Eriksson notował. Maja słuchała.

Za oknem deszcz zaczął ustępować — rzadziej, ciszej, jakby niebo w końcu uznało, że powiedziało wystarczająco dużo.

ROZDZIAŁ VII

AKT OSKARŻENIA

Agnieszka Gothel została zatrzymana w czwartek rano, kiedy wychodziła z domu z torbą na zakupy. Nie stawiała oporu. Przez całe przesłuchanie mówiła spokojnie i konsekwentnie — że dziecko było porzucone, że ona je ocaliła, że robiła to z miłości, że świat zewnętrzny jest niebezpieczny i ona to wiedziała, bo sama przez niego przeszła.

Eriksson słuchał jej i myślał o stu czternastu książkach na regale, i o mapie ze zakreślonymi miastami, i o dzienniku prowadzonym od siódmego roku życia przez dziecko, które nie wiedziało, jak wygląda supermarket, ale umiało opisać samotność z dokładnością zawodowego pisarza.

— Kochałam ją — powiedziała Gothel.

— Wiem — odpowiedział Eriksson.

To był najtrudniejszy rodzaj sprawy. Nie taki, w którym sprawca jest potworem — taki, w którym sprawca naprawdę wierzy w to, co mówi. Eriksson miał na koncie dość takich spraw, żeby nie mylić ich z niewinności.

Akt oskarżenia liczył trzydzieści siedem stron. Prokurator Andersson powiedział, że to jeden z najpełniej udokumentowanych przy-

padków pozbawienia wolności, jakie widział w swojej karierze, i że zeznania pokrzywdzonej są wyjątkowo precyzyjne.

— Ona jest inteligentna — powiedział.

— Miała czas na czytanie — odpowiedział Eriksson i wyszedł, z nim zrobiło się bardziej filozoficznie niż chciał.

EPILOG

MALMÖ, LISTOPAD

Mikael przyjechał do Malmö w listopadzie. Rapunzel wiedziała, że przyjedzie — napisał list, bo ona jeszcze nie miała telefonu, bo telefon był na liście rzeczy, których się uczyła, długiej liście, którą prowadziła metodycznie w nowym notesie z czerwoną okładką.

Spotkali się przy kawie w małej kawiarni przy porcie. Siedziała przy oknie i patrzyła na morze — po raz pierwszy, bo morze widziała tylko w opisach i na zdjęciach w książkach, i okazało się, że jest większe niż przypuszczała, co ją satysfakcjonowało intelektualnie i dezorientowało emocjonalnie jednocześnie.

Nie było to szczęśliwe zakończenie w tym sensie, w jakim baśnie rozumieją szczęście. Rapunzel miała dwadzieścia dwa lata i musiała nauczyć się wszystkiego, czego ludzie uczą się przez pierwsze dwadzieścia dwa lata życia, i to zajmowało czas i było trudne na sposoby, których nikt inny nie do końca rozumiał.

Ale morze było duże i kawiarnia była ciepła i notatnik w jej torbie miał jeszcze wiele pustych stron.

Eriksson zamknął sprawę w piątek. Napisał w raporcie końcowym, że pokrzywdzona jest bezpieczna i współpracuje z wymiarem sprawiedliwości. Wypił kawę — tym razem ciepłą, własną, zrobioną jak lubił — i zaczął czytać akta następnej sprawy.

Deszcz padał dalej. Oczywiście.



KOPCIUSZEK I POPIELISTE MIASTO

ROZDZIAŁ I POPIOŁY I PERFUMY

Miało nigdy nie spało. Nawet o trzeciej w nocy, kiedy mgła z rzeki czołgała się po brukowanych uliczkach i owijała się wokół latarni gazowych jak kot wokół nogi, gdzieś za zamkniętymi okiennicami paliło się światło i ktoś płakał albo liczył pieniądze. W tym mieście jedno i drugie wychodziło na to samo.

Nazywali ją Popielicą, bo zawsze miała szare ręce. Sadza z pieca, popiół z paleniska, tłuszcz z rondli — to był jej zapach, jej skóra, jej życiorys wypisany na dłoniach. Prawdziwe imię brzmiało Elżbieta, ale nikt go nie używał od śmierci ojca. Ojciec umarł trzy lata temu — oficjalnie na serce, nieoficjalnie na nową żonę i jej dwie córki, które pojawiły się w kamienicy przy Szarej Ulicy jak dwa robaki w jabłku: ci-cho, od środka i zanim ktokolwiek zauważył, było już za późno.

Macocha nazywała się Wanda. Miała ostre kości policzkowe, zimne oczy i zwyczaj noszenia czarnych rękawiczek nawet w środku lata, jakby nie chciała dotykać niczego gołą skórą. Jej córki — Berta i Klara — były stworzone na podobieństwo matki, tyle że bez finezji. Wanda kłuła lodem. Berta i Klara po prostu tratowały.

Elżbieta mieszkała w suterenie. Technicznie rzecz biorąc, kamienica należała do niej — ojciec zapisał jej wszystko w testamencie, który Wanda zakwestionowała w sądzie natychmiast po pogrzebie, zanim ziemia zdążyła ostygnąć nad trumną. Sprawa ciągnęła się od trzech lat. Prawnicy Wandy byli lepsi, a sędziowie w tym mieście mieli zwyczaj rozumieć argumenty, które były odpowiednio grube i zielone.

Tymczasem Elżbieta paliła w piecach, gotowała, sprzątała i czekała. Ludzie myśleli, że czeka na wyrok sądu. Mylili się.

ROZDZIAŁ II

BAL U KSIĘCIA

Ksiązę był złą nazwą dla człowieka, który nigdy nie rządził niczym poza własnym kontem w banku i trzema kamienicami przy Złotej Alei. Nazywał się Aleksander Kron, miał trzydzieści dwa lata, twarz z gazety i oczy, które widziały za dużo, żeby jeszcze wierzyć w cokolwiek. Organizował coroczne bale nie dlatego, że lubił towarzystwo — organizował je, bo jego adwokat twierdził, że kontakty towarzyskie są niezbędne dla interesów, a Aleksander nie lubił kłócić się z adwokatem, kiedy ten miał rację.

Zaproszenia rozesłano tydzień wcześniej. Wanda dostała trzy sztuki — dla siebie i córek — bo była wdową po człowieku, który kiedyś miał pieniądze i znajomości, i bo w tym mieście pamięta się takie rzeczy nawet wtedy, gdy pieniędzy już nie ma.

Nie dostała czterech.

— Ty zostajesz — powiedziała Wanda Elżbiecie, wkładając kolczyki przed lustrem w salonie. Mówiła to bez złości, bez satysfakcji — po prostu stwierdzała fakt, jak się stwierdza pogodę. — Trzeba wyczyścić srebra i napalić w piecu, bo jak wrócimy, chcę żeby było ciepło.

Elżbieta stała w drzwiach i patrzyła na jej odbicie w lustrze. Twarz macochy była piękna i martwa jak maska pośmiertna.

— Oczywiście — odpowiedziała.

Kiedy trzy pary obcasów zastukały po kamiennych schodach i ucichły za drzwiami wejściowymi, Elżbieta wyjęła spod płyty kuchennej kopertę. Była tam od sześciu tygodni — odkąd stara Hanna z parteru, jedyna kobieta w kamienicy, która traktowała Elżbietę jak człowieka, a nie mebel, wcisnęła jej ją z tajemniczym uśmiechem i słowami: „Twój ojciec miał przyjaciół, o których Wanda nie wie. Jeden z nich pamięta o tobie.”

W kopercie było zaproszenie. Czwarte.

ROZDZIAŁ III

KOBIETA W SREBRZYSTEJ SUKNI

Hanna była krawcową, zanim stała się starą kobietą z parteru, i jej ręce pamiętały jeszcze, jak kroić materiał tak, żeby leżał jak skóra. Suknia, którą zrobiła dla Elżbiety, była srebrna — nie dlatego, że srebro jest eleganckie, ale dlatego, że Hanna kupiła materiał za własne pieniądze i było to jedyne, co mogła dostać za tę cenę na Szarej Ulicy w październiku.

— Włosy do góry — powiedziała Hanna, stając za Elżbietą przy lustrze. — I żadnych sentymentów. Wiesz, po co tam idziesz?

— Wiem.

— To nie jest bal. To jest rynek. Wszyscy coś sprzedają albo kupują — pozory, koneksje, tajemnice. Ty idziesz tam kupić sobie jedną noc, żeby rozejrzeć się za czymś, czego ci potrzeba.

Elżbieta spojrzała na swoje odbicie. Nie poznała się od razu — nie dlatego, że suknia ją odmieniła, ale dlatego, że po raz pierwszy od trzech lat widziała w lustrze twarz bez sadzy.

— Jest jeszcze jedna rzecz — powiedziała Hanna, wkładając jej w dłoń mały przedmiot. Był to złoty zegarek kieszonkowy, stary, z wygrawerowanymi inicjałami. Elżbieta знаła te inicjały. — Twojego ojca. Zostawił go u mnie na przechowanie dwa tygodnie przed śmiercią. Mówił, żebym oddała go tobie, kiedy będziesz gotowa.

— Gotowa do czego?

Hanna tylko wzruszyła ramionami.

— To ty musisz wiedzieć, dziecko.

ROZDZIAŁ IV

ZŁOTA ALEJA O PÓŁNOCY

Bal był tym, czym były wszystkie bale w tym mieście — piękną fasadą nad brudną ścianą. Światła kryształowych żyrandoli kładły się na twarzach gości złotymi plamami, które ukrywały zmęczenie i cynizm tak samo skutecznie jak puder. Orkiestra grała walce. Kelnerzy nosili szampana na srebrnych tacach. Wszyscy mówili rzeczy, których nie mieli na myśli, do ludzi, których nie lubili, w sprawach, na których im nie zależało.

Elżbieta weszła przez boczne drzwi.

Wandy i córki nie szukała — wiedziała, gdzie stoją. Zawsze stały przy bufecie, bo Klara jadła kiedy się nudziła, a nudziła się zawsze. Elżbieta trzymała się drugiej strony sali.

Aleksandra Krona rozpoznała od razu. Nie dlatego, że był wyjątkowo przystojny ani wyjątkowo dobrze ubrany — ale dlatego, że stał pośrodku tłumu jak człowiek, który jest sam, i nie starał się tego ukryć. Miał szklankę w dłoni i wzrok skierowany gdzieś za okno, jakby wołał być po drugiej stronie szyby.

Podeszła do niego, bo nikt inny tego nie robił. Wszyscy podchodzili do Aleksandra Krona z uśmiechem i jakimś celem — Elżbieta podeszła dlatego, że stali oboje na marginesie tej samej sali i wydało jej się, że rozumieją to samo.

— Pan też woli inne miejsca niż to — powiedziała, stając obok.

Spojrzał na nią. Miał inteligentne oczy i minę człowieka, który jest przyzwyczajony do konwersacji zaczynających się od komplementów i pytań o interesy.

— Pan? — powtórzył z lekkim rozbawieniem. — Wszyscy mówią do mnie „panie Kronie” albo „Aleksandrze”, jeśli chcą czegoś więcej niż pieniędzy.

— To jak mam do pana mówić?

— Aleksander. — Wyciągnął rękę. — A pani?

Zawahała się ułamek sekundy.

— Elżbieta.

Rozmawiali przez godzinę. Może przez dwie. Elżbieta traciła rachubę czasu rzadko — nauczyła się przez trzy lata mierzyć czas minutami i obowiązkami — ale przy Aleksandrze coś rozluźniało się w klatce piersiowej i czas przestawał mieć kształt.

Mówiła mu prawdę — nie całą, ale prawdę. O ojcu, o kamienicy, o trzech latach sutereny. On słuchał tak, jak słuchają ludzie, którzy widzieli wystarczająco dużo kłamstw, żeby docenić brak ozdób. Kiedy skończyła, siedział przez chwilę bez słowa.

— Znam twojego prawnika — powiedział w końcu. — I znam lepszego.

ROZDZIAŁ V

WYBIJA GODZINA

Zegarek ojca zadzwonił o północy. Mały, cichy brzęk, który Elżbieta poczuła bardziej niż usłyszała — metaliczny dreszcz w kieszeni. Pamiętała słowa Hanny i wiedziała, że czas wracać przed Wandą.

— Muszę iść — powiedziała Aleksandrowi, wstając od stolika.

— Zaczekaj. — Wstał za nią. — Chcę wiedzieć, jak się z tobą skontaktować.

— Szara Ulica, kamienica numer siedem, suterena. — Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy tej nocy. — Ale piszę za dwa dni, bo jutro będę czyścić srebra.

Odwróciła się i poszła bocznym wyjściem. Na schodach minęła Bertę, która wychodziła po papierosa i spojrzała na nią bez rozpoznania — srebrna suknia, włosy do góry, twarz bez sadzy. Elżbieta przeszła obok niej jak duch.

Wróciła do domu, zdjęła suknię, zawinęła zegarek w materiał i schowała pod płytę kuchenną. Kiedy Wanda i córki wróciły o drugiej w nocy i zażądały herbaty, Elżbieta stała już przy piecu w szarym fartuchu i robiła dokładnie to, co od niej oczekiwano.

Ale w kieszeni fartucha miał wizytówkę, którą Aleksander wcisnął jej w dłoń przy drzwiach, i nazwisko prawnika wypisane starannym pismem człowieka, który nie zostawia rzeczy niedokończonych.

ROZDZIAŁ VI

KONIEC PROCESU

Prawnik nazywał się Marcin Dąb i miał reputację człowieka, który wygrywał sprawy, które wygrać się nie dało — nie dlatego, że był nieuczciwy, ale dlatego, że był cierpliwy i skrupulatny jak zegarmistrz. Lubił dokumenty, które inni prawnicy uznawali za nieistotne. Lubił pytania, których nikt nie zadawał.

Sprawę kamienicy przy Szarej Ulicy zamknął w sześć tygodni.

Wanda dowiedziała się o wyroku w piątek rano, przy śniadaniu, z pisma, które dostarczył komornik. Elżbieta siedziała przy tym samym stole i piła kawę. Czekala, aż Wanda przeczyta. Czekala na ten moment przez trzy lata i chciała go widzieć na trzeźwo, bez złości i bez triumfu — chciała zobaczyć tylko fakt, goły i czysty jak kość.

Wanda odłożyła pismo. Spojrzała na Elżbietę. Po raz pierwszy nie patrzyła przez nią jak przez szybę.

— Kiedy mamy się wyprowadzić? — zapytała.

— Do końca miesiąca — odpowiedziała Elżbieta. — Jest wystarczająco dużo czasu.

Wstała, wzięła filiżankę i wyszła. Nie trzaskała drzwiami. Nie było po co.

ROZDZIAŁ VII

SREBRNA SUKNIA, SZARE MIASTO

Miasto nie zmieniło się przez te sześć tygodni. Mgła wciąż czołgała się z rzeki każdego ranka, latarnie gasły zbyt wcześnie, a bruk przy Szarej Ulicy był wciąż nierówny i mokry jak zawsze. Ale Elżbieta wychodziła teraz przez frontowe drzwi, bo były jej drzwi.

Aleksander Kron nie był szczęśliwym zakończeniem. Był mężczyzną z inteligentnym spojrzeniem i realistycznym stosunkiem do świata — i tego jej było trzeba, nie bajki. Spotykali się na kawę w małej cukierni przy Złotej Alei, rozmawiali o sprawach i o książkach, i o tym, co miasto robi z ludźmi, kiedy patrzą w inną stronę.

Hanna dostała pierwszy pokój na parterze ze słonecznym oknem, który Elżbieta mogła jej ofiarować. Stara krawcowa wniosła tam swoją maszynę do szycia i dwie doniczki z pelargoniami i powiedziała, że to wystarczy.

Zegarek ojca Elżbieta nosiła przy sobie każdego dnia — nie ze smutku, ale dlatego, że lubił mieć rację co do czasu.

Baśnie mówią, że szklany pantofelek pasuje tylko do jednej stopy i to jest dowód przeznaczenia. Elżbieta nosiła wygodne buty, bo przez trzy lata stania przy piecu wiedziała, że w nieodpowiednim obuwiu nie dojdzie się nigdzie.

I dochodziła tam, gdzie chciała. Krok po kroku, w szarej mgle, na brukowanej ulicy.

To musiało wystarczyć. I wystarczało.



GŁĘBINA PAMIĘTA

ROZDZIAŁ I

BRZEG, KTÓRY ODDYCHA

Jezioro nie było jeziorem. Było okiem — ogromnym, płaskim, nieruchomym okiem czegoś, co nigdy nie spało i nigdy nie mrugało, a jedynie leżało na ziemi jak rana w skórze świata, wypełniona wodą, która smakowała jak zapomnienie i pachniała jak mokra kość.

Stał nad brzegiem. Kazimierz. Imię, które w ustach brzmiało jak klątwa wypowiedziana zbyt ostrożnie, żeby zadziałała, ale wystarczająco głośno, żeby ją usłyszeć.

Nogi miał mokre po kostki, choć nie wiedział kiedy wszedł w wodę. Woda była ciepła — za ciepła jak na noc — i pulsowała pod jego stopami jak żywa tkanka, jak języczek ognia pod lodem.

— Przyszedłeś — powiedział głos znikąd, a jednocześnie zewsząd. Głos był jak dźwięk, który już minął, lecz jeszcze wisi w powietrzu, nie wiedząc dokąd odpłynąć.

Kazimierz odwrócił się. Na jeziorze — nie przy brzegu, nie w odległości, ale na samej powierzchni, gdzie odbijało się fałszywe niebo — stała postać. Kobieta. Albo coś, co miało kształt kobiety, jak chmura ma kształt twarzy, jeśli patrzysz wystarczająco długo i jesteś wystarczająco samotny.

— Zośka? — wyszeptał, a jego głos trzasnął w środku jak sucha gałąź.

— Zośka umarła — odpowiedział głos. — Zostałam ja.

ROZDZIAŁ II

CO SIĘ RUSZA POD WODĄ

Kazimierz pamiętał, jak ją kochał. Albo myślał, że pamiętał — ale wspomnienia zaczęły mu się rozmywać, jak tusz w deszczu, jak twarz

odbita w jeziorze, w które ktoś rzucił kamieniem. Każde wspomnienie, które próbował uchwycić, rozpadało się na drobne, mokre fragmenty, które opadały na dno jego umysłu i nie wracały.

— Przysięgałeś — powiedział głos, a słowo przysięgałeś rozbrzmiało tak długo, jakby echo jeziora było głębsze niż samo jezioro.

— Byłem młody — wykrztusił Kazimierz. — Ludzie kłamią, gdy są młodzi. To naturalne.

Postać na wodzie nie poruszyła się. Ale jezioro — jezioro się poruszyło. Powierzchnia zaczęła marszczyć się od środka, jak skóra drżącego zwierzęcia, a z głębi wydobywał się niski, gardłowy dźwięk — nie bulgot, nie szum — coś pomiędzy, coś, dla czego nie ma słowa w żadnym żywym języku.

— Naturalne — powtórzyła postać, a w tym słowie zabrzmiał cały humor kogoś, kto nigdy już nie będzie potrzebował humoru. — Czy naturalne jest też to, że obiecałeś mi gwiazdę, a dałeś kamień? Że pocałowałeś moje usta nad tym samym brzegiem, po czym poszedłeś całować inne? Czy naturalne jest, że płakałeś na moim pogrzebie i wróciłeś do domu z apetytem?

Kazimierz chciał odpowiedzieć. Usta otworzył — ale zamiast słów wypłynął z nich dym. Gęsty, szary dym, który unosił się nad wodą i opadał na jej powierzchnię, rozpuszczając się w czerni.

Poczuł wtedy, że nogi po kolana zanurzone są w wodzie. Nie pamiętał, kiedy zrobił kolejny krok. Nie pamiętał, czy zrobił go sam.

ROZDZIAŁ III

HALUCYNACJE Z GŁĘBINY

Woda sięgała mu bioder, gdy zaczął widzieć rzeczy.

Najpierw zobaczył siebie — ale starszego, z twarzą pomarszczoną jak papier zamoczony i wysuszony tysiąc razy. Ten drugi Kazimierz siedział w fotelu przy kominku, śmiał się z kimś, kogo nie widać było w kadrze, i pił wino koloru skrzepłej krwi. Był zadowolony. Był gruby od zadowolenia, napęczniały, wypchany wygodnym życiem jak kukła wypchana słomą.

— To ty — szepnęła postać na wodzie, zbliżając się teraz, sunąc po powierzchni jak plama ropy po deszczu. — To ty, gdybyś mnie zapomniał.

— Już cię zapomniałem — odpowiedział Kazimierz, a jego głos miał metaliczny posmak, jakby połknął monetę.

— Nie. — Postać była już blisko. Tak blisko, że mógł zobaczyć jej twarz — i lepiej by było, gdyby nie mógł. Twarz Zośki była twarzą

Zośki, ale z przesunięciem — jakby ktoś narysował ją z pamięci, a pamięć kłamała w detalach. Oczy za głęboko. Usta za szerokie. Włosy poruszające się pod wodą, jak gdyby głowa wciąż była zanurzona. — Nosisz mnie w kościach. Każda kość, którą połamałeś w tamten wieczór nad brzegiem — każda przysięga, którą skruszyłeś — jest zapisana w twoim szkielecie. Jesteś chodzącym archiwum moich ran.

Kazimierz sięgnął po jej twarz. Palce przeszły przez nią jak przez mgłę, a w miejscu, gdzie ją dotknął, woda stała się czarna i gęsta jak smoła.

— Czego chcesz? — warknął, czując, jak woda sięga mu piersi, ciepła, obezwładniająca, miękka jak ciało i twarda jak wino.

— Chcę, żebyś pamiętał — odpowiedziała Zośka, a jej głos rozpadł się na kilka głosów naraz — głos dziewczyny, głos kobiety, głos czegoś bardzo starego, co mieszka w wodzie od zanim jeszcze ludzie nauczyli się płakać. — Nie zemsty. Pamiętania. Zemsta jest dla żywych. Ja jestem poza zemstą. Ja jestem miejscem, do którego trafiają wszystkie rzeczy, których ludzie się wstydzą po zmroku.

ROZDZIAŁ IV

CO MÓWIĄ UMARŁE RZECZY

Woda sięgała mu ust. Kazimierz nie walczył. Nie pamiętał, kiedy przestał walczyć — może nigdy nie zaczął, może ta scena rozgrywała się w jego głowie od lat, od nocy, gdy wracał z cudzego łóżka i przechodził obok jeziora, nie patrząc na jego taflę, szybko, za szybko, jak ktoś, kto mija lustro z wyrzutami sumienia.

Powierzchnia była tuż nad jego nosem. Widział przez nią niebo — zniekształcone, falujące, gwiazdy rozmazane jak łzy na szybie. Widział też siebie, jak odbity w wodzie patrzy na siebie patrzącego na wodę — nieskończony tunel twarzy, z których każda była trochę mniej sobą.

— Będzie bolało? — zapytał bąbelkami.

Zośka siedziała teraz na brzegu — odwrócona, z kolanami pod brodą, patrząc w las. Jej głos dobiegał spod wody jednocześnie i znad niej, z przodu i z tyłu, z miejsca, które nie miało współrzędnych.

— Bolało mnie — odpowiedziała. — Tydzień na dzień. Trawa jeziorna rośnie wolno. Miałam czas myśleć.

Kazimierz chciał zapytać o co myślała. Ale woda weszła mu do ust i zamiast pytania wydobył się z niego długi, cichy dźwięk — nie krzyk, nie szloch — coś pomiędzy, coś, dla czego nie ma słowa w żadnym żywym języku.

Tafla zamknęła się nad jego głową.

ROZDZIAŁ V

GŁĘBINA PAMIĘTA

Na brzegu jeziora nie ma śladu. Trawa przyciśnięta butami Kazimierza wyprostuje się do rana. Woda wchłonie ślad jego obecności jak zawsze wchłaniała — bez głośnych ceremonii, bez nagrobków, bez żałobnych pieśni.

Ale w środku jeziora, tam gdzie światło nie dociera i czas porusza się inaczej — wolniej, gęściej, jak miód w grudniu — coś krąży.

Dwie sylwetki. Jedna trzyma drugą za nadgarstek. Nie z gniewu. Nie z miłości. Z czegoś, czego żywi nie mają dla siebie nazwy: z obowiązku pamięci, który nie ustaje tylko dlatego, że jedno z nich nie żyje.

Jezioro oddycha.

Oko nie mruga.

Na brzegu, w miejscu, gdzie stał, leży jedna rzecz — mała, mokra, nienazwana: jego własny głos, który wypadł mu z ust zanim zdążył powiedzieć przepraszam.

Fala go zabierze przed świtem.



ŻAR POŁUDNIOWY

ROZDZIAŁ I POCZĄTEK ŻNIW

Słońce wisiało wysoko nad polem żytnym, rozlewając złoto i żar, który zdawał się topić powietrze w jednej lepkiej, drżącej mgle. Kamil, dwudziestoletni żniwiarz, już od rana ciągnął sierpa przez wysokie łodygi, pot spływał po jego czołowej bliznie, a plecy paliły się jak rozgrzana blacha.

— Daj spokój, Kamil — zawołał Staszek, jego starszy brat, otrzepując kurz z koszuli. — Już druga godzina, a ty jeszcze nie zrobiłeś połowy swojego pasa.

Kamil przetarł czoło ręką, której dłoń była lepka od potu i kurze.

— Nie mam siły... Głowa mi pęka... — wyszeptał, głos jego drżał jak napięta struna.

Staszek przyjrzał się bratu szerzej. W oczach Kamila błąkał się niepokojący blask, a jego oddech był płytki, szybki.

— Musisz odpocząć. Zaraz będzie południe — to wtedy ona przychodzi. Południca.

Kamil wydał krótki, suchy śmiech.

— Baśnie po staremu. To tylko upał. Wypiję trochę wody i idę dalej.

Staszek nie nalegał. Wiedział, że kiedy brat upiera się, lepiej zostawić go samego. Odszedł w stronę cienia pod starą dębem, zostawiając Kamila samotnie wśród falujących łanów.

ROZDZIAŁ II PIERWSZE WIDZENIE

Słońce osiągnęło zenit. Powierzchnia pola zbladła, jakby całe światło zostało wyciągnięte z kolorów i zastąpione białą, niemal niewidzialną

poświęta. Kamil zatrzymał się, aby odetchnąć, lecz powietrze wydawało się gęste jak smółka; każdy wdech palił w płucach.

Nagle wśród szumu pszenicy usłyszał cichy, suchy szelest — jakby ktoś przeciągnął dłonią posuszej łodydze.

— Kamil... — głos dochodził z samego środka pola, cienki, jak szelest papieru przy ogniu.

Młody żniwiarz odwrócił głowę. Nic nie zobaczył poza falującymi łodygami, które w upale wydawały się pulsować własnym życiem.

— Kim jesteś? — wykrzyknął, lecz jego głos zamarł w gardle, gdy poczuł, jak pot na jego czole zamienia się w gorący par.

— Jestem Południca — odpowiedział głos, teraz wyraźniejszy, ale wciąż niezidentyfikowalny, jakby dochodził z wnętrza samego upału. — Przychodzę, gdy słońce najwyżej stoi, aby przypomnieć tym, którzy pracują w moim royaume, że nie są samotni.

Serce Kamila zaczęło bić szybciej, nie ze strachu, lecz z niewyjaśnionego dreszczu, który przebiegł po kręgosłupie jak zimny dreszcz mimo upału.

— Czego chcesz? — zapytał, starając się brzmieć pewnie.

— Chcę, abyś zauważył, co naprawdę czujesz — kontynuował głos, a w jego tonie zabrzmiał nutę żalu, jakby mówił do dziecka, które zgubiło się w lesie. — Twoje ciało krzyczy o wodę, a twój umysł szuka wytłumaczenia. Ja jestem tym wytłumaczeniem — nie demonem, lecz przypomnieniem, że natura nie wybacza pychy.

Kamil poczuł, jak pot ściekał po skroni, a w jego wyobrażeniu pojawił się obraz: łąka pełna kwiatów, chłodny strumyk, w którym mogłoby się zanurzyć. Obraz był tak żywy, że mógł niemal poczuć krople wody na skórze.

— To... to nie jest prawda — wybełkotał, lecz jego słowa wydawały się oddalać, jak echo w pustyni.

— Prawda to to, co czujesz — odpowiedział głos. — A czujesz, że świat się zawraca, że każdy oddech to ogień, a każdy ruch to ciężar, którego nie udźwigniesz. Przyjmij mnie, a przynajmniej na chwilę ulży ci chłód zapomnienia.

ROZDZIAŁ III

HALUCYNACJE W OGNIU

Kamil upadł na kolana, ręce wsparte w ziemię, która parzyła jak rozgrzana płyta. Widzenie przed oczami stawało się coraz bardziej wyraźne: widział siebie samego, ale starszego, z siwizną w włosach, stojącego przy strumyku i pijącego wodę pełnymi łykami. Obok niego

stała kobieta w białej sukni, jej włosy spletały się z łakami kwiatu chabry, a w jej dłoni trzymała wieniec z kłosów.

— Przyjdź — zachęcała kobieta, głos jej miękki jak wiatr nad polami. — Tutaj nie ma upału, tylko spokój.

Kamil wyciągnął rękę w stronę widzenia, lecz jego palce spotkały jedynie suchy kurz, który zwiął w powietrze jak pył.

— Nie... nie mogę... — jęknął, a w jego gardle pojawił się metaliczny posmak krwi — efekt przesuszenia błony śluzowej.

Wtedy pole zaczęło się trząść. Nie była to trzęsienie ziemi, lecz falowanie upału, które wydawało się przybierać kształt postaci. Wysooka, smukła postać w płynnej szacie z promieni słonecznych wyłoniła się z horyzontu pola. Jej twarz była niewyraźna, jakby wykonana z samego światła, lecz w miejscu oczu błyszczały dwa drobne punkty czerni — puste otchłanie.

— Jesteś Południca? — wykrztusił Kamil, głos jego ledwie słyszalny nad szumem własnego serca.

Postać nie odpowiedziała słowem. Zamiast tego w jego umyśle rozbrzmiał chór głosów — żniwiarzy z przeszłości, którzy również padli pod jej spojrzeniem. Słyszał ich westchnienia, ichostatnie modlitwy o deszcz, ich błagania o cień.

— Dlaczego mnie wybierasz? — zapytał Kamil, lży palące się na policzkach, które natychmiastodparowały w gorącym powietrzu.

— Nie wybieram — odpowiedziała postać, a jej głos brzmiał jednocześnie jak szelest suchychłodyg i jak odległy grzmot. — Jestem jedynie przypomnieniem, że słońce daje życie, ale takżezabiera je tym, którzy zapominają o szacunku. Przychodzę o południu, gdy cień jest najkrótszy, aby przypomnieć, że każdy człowiek potrzebuje odpoczynku, wody i cienia —nawet jeśli praca wzywa go do dalszej walki.

Kamil poczuł, jak jego widzenie zaczyna się rozmywać. Obrazy chłodnego strumyka i białejsukni zaczęły blaknąć, zastępując je białą poświatą, która wydawała się wypełniać całe jegopole widzenia.

— Jeśli... jeśli muszę iść... — wyszeptał — to niech będzie spokojnie.

Postać wyciągnęła rękę — nie po to, by go dotknąć, lecz by wskazać kierunek. W jej dłonipojawiał się mały, lśniący kropelkowy kryształ, który wydawał się zawierać w sobiemikroskopijny obraz kropli wody.

— Weź — szepnęła postać. — Niech ten kryształ będzie przypomnieniem, że nawet wnajwiększym upale można znaleźć chwilę ulgi, jeśli tylko spojrzysz w głąb siebie.

Kamil chwycił kryształ. Gdy jego palce objęły lśniący kropli, poczuł natychmiastowy chłódprzebiegający przez żyły — iluzja, która na chwilę zahamowała ogień wewnątrz niego. W tejchwili ujrzał wyraźnie swoją matkę, która podawała mu kubek wody z dzbanika, i usłyszał jejgłos:

— Pamiętaj, synu, że praca jest ważna, ale życie ważniejsze.

ROZDZIAŁ IV

CISZA PO POŁUDNIOWYM ŻARZE

Słońce zaczęło powoli chylić się ku zachodowi. Pole, które jeszcze chwilę wcześniej drżało odupału, teraz wydało się nieco cięższe, jakby samo ziemię odczuwało ulgę. Kamil leżał naplecach, wzrok utkwiony w bezchmurnym niebie, którego barwa zmieniała się odintensywnego niebieskiego do delikatnego pomarańcza.

Kryształ, który wciąż trzymał w dłoni, był już tylko zwykłym kawałkiem szkła — chłodnikną, pozostawiając tylko uczucie suchości w ustach i ciężkie pulsowanie w skroniach.

Staszek pojawił się z cienia dębu, niosąc dzbanek wody i płachtę.

— Brat... — zaczął, głos jego drżał z niepokoju. — Wyglądasz jak... jakbyś już nie był tutaj.

Kamil powoli obrócił głowę ku bratu. Jego oczy były otwarte, lecz w głębi dostrzegł mgłę — nie tę, którą widział wcześniej w upale, lecz delikatną, białą poświatę, która zdawała sięunosić tuż nad jego policzkami.

— Widziałem ją — wypalił głosem, który brzmiał jak echo odległego dzwonu. — Południcę.Powiedziała, że muszę odpocząć... że potrzebuję wody i cienia.

Staszek położył dłoń na czole brata. Skóra była gorąca jak rozgrzane żelazo, lecz pod niądrżał lekki ruch — jakby gdzieś głęboko w wnętrzu nadal biło słabe, ale uporczywe serce.

— Pij — powiedział Staszek, podając mu dzbanek. — Jeszcze nie jest za późno.

Kamil uniósł głowę z trudem, ujął dzbanek i napiął się, by wypić. Woda spłynęła po jego gardlejak błogosławieństwo, lecz w tym samym momencie poczuł, jak jego widzenie zaczyna sięrozmywać — nie już w obrazach upału, lecz w delikatnym świetle, które wydawało siępochodzić z samej przestrzeni między nim a niebem.

— Dziękuję... — wyszeptał, a jego głos ledwie docheał do uszu brata.

Staszek patrzył, jak oddech Kamila staje się coraz rzadszy, jakby każdy wdech był próbawyciągnięcia ostatniego oddechu z pusty-

ni. Oczy brata zaczęły przyćmiewać się, a napolickach pojawiły się cienkie linie soli — ślady łez, które odparowały jeszcze przed tym, jak mogły spłynąć.

W tle pole żytnie zaczęło wydawać cichy, niemal niesłyszalny śpiew — nie ludzki głos, lecz szelot suchych łodyg pod wpływem wiatru, który niby niósł dalej echo jakiejś dawnej pieśni oodpoczynku, wodzie i cieniu.

Kamil wypuścił dzbanek. Jego ręka opadła na ziemię, a w jej dłoni pozostał tylko kryształ — teraz zwykły kawałek szkła, który już nie chłodził, lecz przypominał o chwili, gdy upał dał muchwilę ulgi.

Ostatni oddech wydobył się z jego piersi — cichy, jak westchnienie pola po burzy. Słońce, już nisko na horyzoncie, rzuciło ostatnie promienie na jego twarz, oświetlając uśmiech, który nie był już wyrazem strachu, lecz spokojnej akceptacji.

Południca nie pojawiła się już więcej. Jej obecność została wchłonięta w ciszę pola, w suchy szelot kłosów i w delikatny, wonny wiatr, który niósł ze sobą echo jej przesłania: szanuj słońce, szanuj wodę, szanuj cień — bo tylko wtedy żniwa mogą być błogosławieństwem, a nie przekleństwem.



LOTNISKO

KSIEGA I NOĆ NAD ŚWIDNIKIEM

Lotnisko w Świdniku, pod Lublinem szare,
Leżało wśród łąk nocą — zimne, bez litości,
Pas startowy lśnił pusto jak kość w cmentarności,
A mgła się wlokła gęsta, ciężka i koszmarnie.

Słupy lamp oświeślały asfalt mokry, długi,
Hangar stał zamknięty jak grobowiec z drewna,
Wieża kontroli świeciła — bezludna, niepewna —
Bo tu od lat wieczornych nie latały smugi.

Marek, technik nocny w kurtce wyblakłej,
Chodził wzdłuż ogrodzenia z latarką i kluczem,
Młody, spokojny człowiek — lecz pod tym spokojem
Drżało wspomnienie o wypadku, o tamtej grudniowej.

Trzy lata temu, w mrozie, w ciszy bez powietrza,
Lot numer zero-jeden runął tu bez przyczyny,
Czternaście dusz pasażerów, pilot i maszynka —
Wszyscy zginęli nagle, ziemia była twarda.

Skrzynka czarna znikła, nikt jej nie odnalazł,
Akta zamknięto szybko, sprawę w szufladę złożono,
Lecz starzy ludzie mówią, że ta ziemia przeklęta,
Że tu nocą chodzi coś — bez kształtu i imienia.

KSIEGA II POŁUDNICE NA PŁYCI

Zofia, kasjerka błąda przy odprawie nocnej,
Siedziała przy terminalu w blasku szklanym, mdłym,
Gdy przez okno spostrzegła na płycie betonowej
Trzy postacie kobiece w bieli — kruche, bezdźwięczne.

Szły powoli przez pas, bez tropu i kierunku,
Każda w sukni letniej — choć był kwiecień zimny —
Włosy rozpuszczone, białe jak len przędzy,
Oczy — czarne, głębokie jak studnie bez dna.

To południce — wiedziała z babcinych opowieści —
Duchy żniw i łąk, co do szału wiodą,
Lecz co szukają tutaj, na płycie odlotów?
Na betonowym polu, wśród lamp i żelazności?

Jedna odwróciła głowę ku oknu kasowym,
Spojrzała na Zofię wzrokiem bez powiek,
I uniosła rękę — wskazała na zegarek —
Był on pusty w środku — bez wskazówek, tarcz.

Zofia cofnęła krzesło, uciekła w korytarz,
Gdzie Marek właśnie wchodził z kawą i niepokojem.
— Na płycie są kobiety — szepnęła mu blade —
Trzy, w bieli, bez butów, stoją na pasie startowym.

Marek spojrzał przez szybę — był tam tylko beton.

KSIEGA III: KORYTARZ C I PÓŁNOCNICE

Ruszyli razem w głąb hali, ku strefie odlotów,
Przez bramkę metalową, wejście z numerem C,
Gdzie lampki migotały w rytmie nieregularnym,
A powietrze było gęste jak po burzy mokrej.

I tu ich dosięgnęło — zimno bez powodu,
Oddech ich dymił białym obłokiem w powietrzu,
Mimo że ogrzewanie pracowało głośno —
Jakby ktoś otworzył wrota do krainy lodu.

Ze ścian wypłynęły one — Północnice blade,
Duchy nocy późnej, siostry ciemnej chwili,
Różne od południc — te były kościste,
Z twarzami jak maska — bez wyrazu, płaskie.

Jedna dotknęła ściany — w miejscu zostawała
Czarna plama wilgoci w kształcie dłoni szczupłej,
Druga szła środkiem korytarza bez pośpiechu,
Trzecia stała nieruchomo — w górze, pod sufitem.

— Marek — szepnęła Zofia — ona tam nie stoi.
Ona tam wisi.

Marek nie odpowiedział, bo z głośnika starego
Rozległ się głos pilota — chłodny, bez oddychania:
— Pasażerowie proszą zapiąć pasy swoje,
Dolatujemy właśnie do krainy bez jutrzeńki.

Obsługa kabiny czeka przy wyjściach awaryjnych —
Lecz wyjść awaryjnych tutaj już nie ma.

KSIEGA IV ŁOWCY Z POŁUDNIA

O świcie — gdy Marek i Zofia drżeli w kącie —
Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem głośnym.
Wszedł Tadeusz — wysoki, w płaszczu skórzanym,
Za nim Halina z torbą pełną żelaza i soli.

Łowcy potworów — para znana w Lubelskiem,
Przemierzali kraj cały, szukając otworów
Między światem żywych a tym, co po drugiej stronie —
I ktoś ich zawiadomił o Świdniku rankiem.

Tadeusz miał krzyże — srebrne, stare, ciężkie,
Halina nosiła zioła: piołun, dziką różę,
Na szyi ją zdobił amulet z żółtej kości —
Ząb jakiegoś stwora, którego nie ma w księgach.

— Widzieliśmy to wcześniej — rzekł Tadeusz głucho —
Lotnicze katastrofy nie zawsze są przypadkiem.

Ziemia tu jest cienka między nami a tamtym,
A wypadek sprzed lat tę granicę rozerwał.

Halina rozsypała sól wzdłuż każdej ściany,
Tadeusz odmówił słowa — stare, łacińskie —
I przez chwilę zdawało się, że nastał spokój,
Że mrok się cofa, wycofuje, ustępuje.

Lecz południce wróciły — teraz razem z cieniami
Pasażerów ze zniszczonego lotu grudniowego.
Czternaście postaci w marynarkach stało,
Każda z twarzą odwróconą — bez oczu, bez ust.

KSIEGA V: OTCHŁAŃ POD PASEM STARTOWYM

Tadeusz stanął pierwszy — ramiona rozłożone,
Halina za nim — ziołami i modlitwą zbroijną.
Lecz Północnica z sufitu zeszła między wszystkich
I wydała krzyk — nie ludzki, lecz z głębi kamienia.

Ściany zadrżały, szyby popękały w ramach,
Lampki zgasły nagle — ciemność jak przed stworzeniem.
I w tej ciemności zupełnej Marek poczuł w dłoni
Coś małego, miękkiego — pluszowego misia.

Nie wiedział skąd się wziął, nie wiedział czy był,
Lecz na jego metce — stary, dziecięcy napis:
„Tato, wróć do domu” — i imię: Małgosia.
Marek zrozumiał w ciszy, że to córka pilota.

Krzyknął w ciemność głośno — nie modlitwą, nie zaklęciem —
Krzyknął po ludzku, prosto, głosem bez ozdoby:
— Słyszę was! Wiem, że byliście! Wiem, że to niesprawiedliwe!
I nikt wam nie powiedział, że pamiętamy o was!

Cisza. Długa. Kamienna.

Potem — jedno po drugim — cienie zaczęły gasnąć.
Południce stopiły się w asfalt zimny, czarny,

Północnica z sufitu opadła jak zasłona,
I pasażerowie znikli — bez krzyku, bez końca.

KSIĘGA VI **TO, CO ZOSTAŁO**

Świt przyszedł nad Świdnikiem błądy i milczący,
Tadeusz zapieczętował bramki solą i kredą,
Halina wymieniła słowa z Zofią cicho —
I wyszli oboje przed południem, bez pożegnania.

Marek siedział przy oknie z misiaczem w dłoniach,
Patrzył na pas startowy — pusty, mokry, zwykły.
Gdzieś za płótem krążył kot — czarny, bez właściciela —
I zniknął, i wracał — w rytmie niezrozumiałym.

Zofia nie wróciła już do tej pracy więcej,
Napisała tylko jeden krótki list do szefa.
Marek pracuje dalej — ale w korytarzu C
Nie chodzi nigdy sam, i nie gasi latarki.

Bo pewnej październikowej nocy, po roku całym,
Kamery cofnięte pokazały coś wyraźnie:
O godzinie trzeciej, w pustej hali odlotów —
Trzy kobiety w bieli czekały przy stanowisku.

Nie ruszały się, nie krzyczały, nie znikwały.
Stały tam do rana w kolejce przy odprawie,
Każda z biletem w dłoni — bez daty, bez kierunku —
I każda patrzyła w kamerę. Uśmiechnięta.

Nikt nie wie, dokąd lecą. Nikt nie chce pytania.
Tablica odlotów świeci się o północy —
Jedna pozycja — bez numeru, bez godziny:

**ODLOT: NIEOKREŚLONY. MIEJSCA:
WOLNE. POWROTU BRAK.**

SPIS TREŚCI

Czerwony Kapturek i Cena Krwi	7
Rozdział I: Dziewczyna z lasu.....	7
Rozdział II: Koszyk i trucizna.....	8
Rozdział III: Chatka na polanie.....	8
Rozdział IV: Zemsta nie jest słodka.....	9
Epilog : Co mówią baśnie.....	10
Krew i Korzenie:.....	11
Rozdział I: Wioska na Skraju Puszczy	11
Rozdział II: Stara Milka i Dawne Prawa.....	12
Rozdział III: Co Widzi Leszy	13
Rozdział IV: Bazyliśzek pod Zamkiem.....	13
Rozdział V: Sędzimir i Coś, Czego Nie Mówił	14
Rozdział VI : Noc Diabła.....	15
Rozdział VII : Zwierciadło i Korona.....	16
Rozdział VIII : Koniec Długu	17
Rozdział IX : Sędzimir odchodzi.....	18
Epilog : Czarna Wola, wiosna	18
Wieża. Akt Oskarżenia.....	21
Rozdział I: Śledczy Eriksson i sprawa bez ciała.....	21
Rozdział II: Gothel:	22
Rozdział III: Włosy	23
Rozdział IV: Wnętrze wieży	23
Rozdział V: Chłopak z lasu	24
Rozdział VI: Inna wieża. Inne miasto.....	25
Rozdział VII: Akt oskarżenia.....	26
Epilog: Malmö, listopad.....	27
Kopciuszek i Popieliste Miasto.....	29
Rozdział I: Popioły i perfumy	29
Rozdział II: Bał u Księża.....	30
Rozdział III: Kobieta w srebrzystej sukni.....	30
Rozdział IV: Złota Aleja o północy.....	31
Rozdział V: Wybija godzina	32
Rozdział VI: Koniec procesu	33
Rozdział VII: Srebrna suknia, szare miasto	33
Głęбина pamięta	35
Rozdział I: Brzeg, który oddycha	35
Rozdział II: Co się rusza pod wodą	35
Rozdział III: Halucynacje z głębiny	36

Rozdział IV: Co mówią umarłe rzeczy	37
Rozdział V: Głębina pamięta	38
Żar południowy	39
Rozdział I: Początek zniw	39
Rozdział II: Pierwsze widzenie	39
Rozdział III: Halucynacje w ogniu	40
Rozdział IV: Cisza po południowym żarze	42
Lotnisko	45
Księga I: Noc nad Świdnikiem	45
Księga II: Południce na Płycie	46
Księga III: Korytarz C i Północnice	46
Księga IV: Łowcy z Południa	47
Księga V: Otchłań pod Pasem Startowym	48
Księga VI: To, Co Zostało	49



